



W naszym interesie jest wzmocnienie wschodniej flanki Sojuszu – mówił Antoni Macierewicz na lipcowym Szczycie

Życie po szczycie. NATO zaczęło szybciej działać

BEZPIECZEŃSTWO Pierwsze przymiarki do relokacji wojsk i spotkanie państw członkowskich dotyczące walki z Państwem Islamskim – Sojusz wdraża to, o czym była mowa w Warszawie

Maciej Miłosz
maciej.milosz@infor.pl

Wciąż ustalane jest, które państwa wyślą żołnierzy do bojowych grup batalionowych na Litwę, Łotwę, do Estonii i Polski (na razie znane są tylko tzw. państwa ramowe, czyli Kanada, Niemcy, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania). Wiadomo już jednak, że Kanadyjczycy wydelegują najpewniej ok. 450 żołnierzy i sześć samolotów bojowych, które miałyby stacjonować na Łotwie. Z kolei Brytyjczycy wyślą do Estonii ok. 500, a do Polski – ok. 150 żołnierzy. Jeśli zaś chodzi o udział Wojska Polskiego, to liczący ok. 200 osób kontyngent prawdopodobnie zostanie wysłany również do Rumunii, a kolejna grupa ma trafić na Łotwę. Na komunikat NATO dotyczący dokładnego składu poszczególnych grup bojowych przyjdzie nam zapewne poczekać do końca roku. Na wschodniej flance mają się one pojawić na początku 2017 r.

Reakcje Rosji na decyzje ogłoszone podczas szczytu w Warszawie były stosunkowo umiarkowane, co spowodowało, że w ostatnich tygodniach nieco mniej mówiło się o nowej zimnej wojnie. Już kilka dni po szczycie – w lepszej atmosferze niż poprzednie – odbyło się spotkanie rady NATO-Rosja. Jens Stoltenberg podkreślił, że choć nie we wszystkim się zgodzono, to przynajmniej przedstawiono swoje punkty widzenia. Jednak choć na spotkaniu poruszono kwestie dotyczące zmniejszenia ryzyka i napięcia nad Bałtykiem, gdzie rosyjskie samoloty często dopuszczają się prowokacji, to... nic w tej kwestii się nie zmieniło. Minister obrony Bułgarii Nikolaï Nenczew stwierdził właśnie, że rosyjskie samoloty regularnie naruszają przestrzeń powietrzną

tego kraju. Tymczasem już od września polskie MiG-29 mają uczestniczyć w misji air policing nad Bałkanami – do spółki z innymi państwami NATO będą strzegły nieba nad Bułgarią i Rumunią.

Na szczycie w Warszawie zapowiadano również spotkanie globalnej koalicji do walki z samozwańczym Państwem Islamskim (Da'isz) na szczęblu ministrów obrony i spraw zagranicznych. Choć Sojusz oficjalnie nie bierze w niej udziału, to przystąpiły do niej wszystkie państwa członkowskie Sojuszu, a na ubiegłotygodniowym spotkaniu obecny był również Jens Stoltenberg. Sekretarz stanu USA John Kerry apelował do sojuszników m.in. o bardziej chętnie dzielenie się danymi wywiadowczymi. Dyskutowano również o tym, jak przeciwstawić się propagandzie Da'isz w internecie.

Powoli widać, że Państwo Islamskie traci militarnie i ma coraz większe problemy z pozyskiwaniem funduszy. Dlatego już teraz koalicja intensywnie dyskutuje o tym, jak wzmocnić szkolenie aparatu bezpieczeństwa w Iraku – mówi Wojciech Lorenz, analityk ds. bezpieczeństwa w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Obecnie irackie siły przygotowują się do odbicia Mosulu, dużego miasta na północy kraju o znaczeniu strategicznym. – W naszym interesie narodowym leży zarówno wzmocnienie wschodniej flanki NATO, jak i ustabilizowanie sytuacji w południowym sąsiedztwie Sojuszu – mówi minister obrony Antoni Macierewicz.

Z polskiej perspektywy warto zwrócić uwagę na jeszcze dwie rzeczy. Podczas jednego z wygłoszonych w Stanach Zjednoczonych przemówień szef resortu odniósł się do kwestii finansowania Wojska

Polskiego. – Obecnie przeznaczamy na obronę 2 proc. PKB, ale planujemy podnieść te wydatki do 3 proc. Sprawi to, że będziemy drudzy w kolejności po naszych amerykańskich przyjaciółach – zapowiadał polityk. To kolejna taka deklaracja – i choć wiadomo, że ma się to odbywać stopniowo – otwarte pozostaje pytanie, czy wzrost budżetu MON liczonego jako odsetek PKB rozpocznie się już w 2017 r. Patrząc na inne wydatki rządu, wydaje się to mało realne.

Drugą ciekawą kwestią jest najnowsza analiza Atlantic Council dotycząca tego, jak Polska i NATO mogłyby się przeciwstawić Rosji. Specjaliści stwierdzają oczywiście, że Warszawa powinna wzmocnić swoje możliwości obronne (m.in. w kwestii zasięgu radarów i naprowadzania pocisków na cel), ale – co najciekawsze – zwracają uwagę także na to, że powinniśmy złożyć deklaracje polityczne na kilku płaszczyznach. Jedną z deklaracji powinna stwierdzać, że w razie napaści na kraje bałtyckie czy Rumunię Polska – nie czekając na wspólną decyzję Sojuszu – przyjdzie tym krajom z pomocą. Poza tym dobrze byłoby, gdybyśmy jasno powiedzieli, że w przypadku ataku Rosji nie zawahamy się uderzyć głęboko na jej terytorium, m.in. za pomocą pocisków JASSM o zasięgu ok. 400 km. Zdaniem analityków Atlantic Council powinniśmy również publicznie ogłosić listę potencjalnych celów w obwodzie kaliningradzkim oraz zadeklarować, że w razie konfliktu wyślemy nasze siły specjalne, by zniszczyć niektóre z nich.

© P

NATO rozstanie się z Turcją? Ekspert: Im szybciej to nastąpi, tym lepiej. Czytaj na [Forsal.pl](#)



dr Małgorzata Bonikowska prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych i ośrodka Think Tank

OPINIA Wilki będą się bronić. Idzie wojna domowa

Prawdy o nieudanym puczu wojskowym w Turcji zapewne nigdy nie poznamy. Wiemy za to, że opozycja wobec prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan wewnątrz rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) narastała od wielu miesięcy. Niespodziewane i dość spektakularne odejście premiera Ahmet Davutoğlu – przez wiele lat najbliższego współpracownika szefa – było jasnym sygnałem skali tarć. Wiemy też, że w armii – ostoju świeckości republiki i ideałów jej ojca założyciela Mustafy Kemala zwanego Atatürkiem – pod koniec sierpnia miały nastąpić nowe nominacje na kierowniczych stanowiskach. Podczas zamachu nie zatrzymano ani premiera, ani prezydenta, ani żadnego innego wysokiego przedstawiciela rządu. A w ciągu zaledwie kilku dni od opanowania puczu aresztowano kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w tym prawie jedną trzecią dowódców tureckiego wojska, ponad stu przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości i dwóch sędziów trybunału konstytucyjnego.

Na tej sytuacji najbardziej skorzysta prezydent Erdoğan. Zgodnie z logiką należy więc przyjąć, że mógł celowo dopuścić do puczu, przymknąć oko na trwające przygotowania, a nawet podpuścić rebeliantów. Albo że wręcz sam ten pucz zaaranżował. Dzień po puczu komisarz UE ds. rozszerzenia Johannes Hahn zauważył, że jeśli zatrzymania puczystów są tak błyskawiczne i na taką skalę, to tureckie władze musiały już wcześniej mieć przygotowaną listę podejrzanych. Wojskowy zamach stanu dał Erdoğanowi doskonały pretekst do rozprawienia się z opozycją – i to paradoksalnie pod sztandarem obrony demokracji. Iście makiaweliczna zagrywka.

Gdyby nie przewrót, prezydent Erdoğan i tak zrobiliby czystki. Tylko wtedy odbyłoby się to pod ostrzałem zmasowanej krytyki opinii międzynarodowej. Stałby się otwartym dyktatorem, łamiącym demokrację. Gdyby z kolei tego nie zrobił, ryzykowałby utratę władzy, a – jak wiadomo z przeszłości – zwolennicy rządów autorytarnych „władzy raz zdobytej nie oddają nigdy”. W pierwszym momencie Zachód udzielił Erdoğanowi poparcia w imię jego demokratycznego mandatu – w sierpniu 2014 r. wygrał wybory prezydenckie, uzyskując ponad 52 proc. głosów. Szeffowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini oświadczyła, że demokracja i rządy państwa prawa muszą być w Turcji chronione „dla dobra tego kraju”.

Zamachy wojskowe jako sposób na zmianę władzy są w kulturze politycznej Zachodu nie do przyjęcia, nawet jeśli armia sprzeciwi się w słusznej sprawie. Od polityki są politycy, a nie wojskowi, i żeby zastąpić Erdoğan, opozycja powinna wygrać wybory. To jednak będzie teraz bardzo trudne, bo zamach pozwala AKP wyeliminować całą opozycję. Z każdym dniem poczynania prezydenta Erdoğan budzą większy niepokój Zachodu. Czystki objęły wojsko, policję, ministerstwa, uczelnie i szkoły. Rząd chce przywrócić karę śmierci, zniesioną w Turcji w 2004 r. w ramach procesu akcesyjnego i dostosowywania się do wymogów Unii Europejskiej (od 1999 r. Turcja jest formalnie krajem kandydującym). Prezydent Erdoğan nie omieszkał przy tej okazji przypomnieć, że kara śmierci jest wciąż dopuszczana w niektórych stanach USA. Ostatni krok to wprowadzenie stanu wyjątkowego (na razie na trzy miesiące) i zawieszenie stosowania na terytorium Turcji Europej-

skiej Konwencji Praw Człowieka, co oznacza m.in. dopuszczenie możliwości tortur. Tu także prezydent powołuje się na zachodnich partnerów – częściowo podobne restrykcje zastosowała Francja po ostatnich zamachach terrorystycznych.

Prezydent wie, że jego decyzje są przyjmowane z rosnącą grozą, dlatego przezornie zasłania się narodem. W noc puczu to ludzie – także w odpowiedzi na apel Erdoğan za pośrednictwem mobilnej aplikacji telewizji CNN Türk – wyszli na ulicę w obronie demokratycznie wybranych władz. To ludzie próbowali zatrzymać czołgi puczystów (zginęło ponad 300 osób, z czego prawie połowa to cywile). To ludzie domagają się dla zamachowców najwyższej kary. A prezydent tylko słucha. Zachodni przywódcy (m.in. Federica Mogherini i sekretarz stanu USA John Kerry) ostrzegli władze Turcji, by w następstwie puczu nie decydowały się na kroki, które „mogłyby zaszkodzić porządkowi konstytucyjnemu w kraju”, czyli by nie rezygnowały z demokracji. Tyle w sferze deklaracji. W rzeczywistości na oczach zdeorientowanego Zachodu i przestraszonych Turków właśnie powstaje państwo islamskie.

Prezydent Erdoğan zapowiada dalsze oczyszczanie wszystkich instytucji państwowych z wirusa winnego próbie przewrotu. Nie przedstawiając dowodów winy, nalega także na wydanie przez USA muzułmańskiego kaznodziei Fethullaha Gülena, który od 1999 r. mieszka w Pensylwanii. Ten niegdysiejszy sojusznik Erdoğan jest teraz przez niego oskarżany o inspirowanie zamachu. Prezydent stawia

I bez przewrotu prezydent Erdoğan przeprowadziłby czystki. Inaczej ryzykowałby utratę władzy

tym samym na szali nie tylko relacje turecko-amerykańskie, ale także relacje w ramach NATO (Turcja jest drugą po USA armią sojuszu). Co będzie dalej? Obława. Logika jednak podpowiada, że osaczone wilki potrafią się bronić. Elita tureckiej armii jest od 1923 r. ostoją republiki, zarządza sprawą maszyną nie tylko do walki zbrojnej, ale także aktywności wewnątrz kraju. Nic nie wskazuje na to, żeby miała zamiar odpuścić, nie tylko dlatego, że nie chce, ale przede wszystkim dlatego, że nie ma już nic do stracenia. Jeśli się nie sprzeciwi, zginie.

Kto ją poprze? Wszyscy, którym prezydent wydał wojnę: elita administracji, prawnicy, nauczyciele, intelektualni, część biznesu. Albo oni, albo on. Nie ma tu raczej miejsca na pojednanie. A bez niego Turcję czeka wojna domowa. Naród jest podzielony jak nigdy przedtem. Połowa społeczeństwa stanie za prezydentem, którego poparał w wyborach. Druga połowa będzie poddawana presji, szykanowana. Część zejdzie do podziemia, część wyjedzie, ale część się sprzeciwi. Z kraju budowanego według zachodniego modelu świeckiej republiki, aktywnego członka NATO od ponad 60 lat, kandydata na członka Unii Europejskiej, który chciał prowadzić politykę pod hasłem „zero problemów z sąsiadami”, Turcja przemienia się w państwo samych problemów – wewnętrznych i zewnętrznych. I co gorsza, daje wątpliwy wzór innym autorytarnym przywódcom, którym jej odwrót od demokracji jest bardzo na rękę. © P